

## Strzały zza ucha: Urodzinowe dywagacje dziadersa przed sześćdziesiątką (Felieton)



**Dzisiaj skończyłem 59 lat. I chyba się starzeję. Nie, żebym dziadział. Albo szykował się na tamten, podobno lepszy świat. Nic z tych rzeczy. Tylko pytań mam coraz więcej. Coraz więcej wątpliwości. A w głowie istny kociokwik i intelektualną niestrawność z nadmiaru wrażeń. Zwłaszcza po inwazji Rosji na Ukrainę, która uświadomiła mi, że świat zasiedlony jest przez naiwniaków, rządzonych przez cyników i psychopatów.**

---

24 lutego dotarło do mnie, że coś, co do niedawna było jednoznaczne, nie jest już nawet oczywiste. Świat, którego uczyłem się przez pięćdziesiąt dziewięć lat - chyba trochę machinalnie, jak tabliczki mnożenia - rozpadł się tego dnia niczym uderzone młotem lustro. Uwięzione w nim obrazy nie przestały wprawdzie istnieć – wręcz przeciwnie, zwielokrotniły się i uległy rozszczępieniu niczym widmo światła w pryzmacie czasu. Jednak nagła dekompozycja tego, co widzialne i niewidzialne, wywołała dekompresję zdrowego rozsądku, wznecając przy okazji tsunami goryczy. Bo mimo trzydziestu lat, jakie minęły od upadku Związku Radzieckiego, mimo tylu tragicznych doświadczeń, ludzie nie nauczyli się niczego. Znowu wszechogarniająca przemoc, gwałty, wojna. I bezsilność... Czy naprawdę to nasz świat?

No więc żal i gniew – tym razem już tylko na siebie. Znowu droga tam i z powrotem, jak po linie - od dzieciństwa ku starości, od euforii do frustracji, od zażenowania po wściekłość... Tak samo jak wtedy, gdy moja matka pierwszy raz opowiedziała mi o wywóźce ze Lwowa w lutym 1940 roku. O tamtej podróży w bydłych wagonach, które zatrzymywały się tylko po to, by wyrzucić do rowu jej babkę, matkę, półroczną siostrę i setki innych martwych ciał. I o Rosjanach, którzy wbrew zakazom komunistycznych władz dawali polskim dzieciom chleb, dzięki czemu jednak przeżyła.

O tamtej właśnie podróży do republiki Komi myślałem 35 lat temu, kiedy postanowiłem zostać emigrantem. Teraz to wszystko mi się przypomniało, oglądając relacje z wojny na Ukrainie.

## **Życie w rozkroku**

Kiedy 26 lipca 1987 roku lądowałem na londyńskim Heathrow miałem 24 lata. Miałem przy sobie osiemdziesiąt funtów i niewielki plecak. Byłem niedoszłym studentem prawa i autorem niewydanego tomu opowiadań.

Wysiadając z samolotu, myślałem, że najpóźniej za rok będę z powrotem w Gdańsku. Ostatecznie droga do domu zajęła mi prawie dwie dekady. I prawie do końca wierzyłem, że wyjeżdżając z komunistycznego piekła coś sobie udowodnię, że odkryję prawdziwy świat i dogonię swoje wyobrażenia o normalności.

No więc najpierw był Londyn - dwa lata przedzierałem się przez to miasto z zachodu na wschód, z północy na południe. Dniem i nocą. Pieszko, metrem, autobusami. Zazwyczaj samotnie... Londyńskie doświadczenia opisałem w swojej drugiej książce zatytułowanej „Szpital Polonia”.

A potem były Niemcy - różne regiony, od obozu dla uchodźców nad Jeziorem Bodeńskim, poprzez senne miasteczka Palatynatu, zadymione Zagłębie Ruhry, po ponownie południową Badenię-Wirtembergię. Tam na dłużej zakotwiczylem w małej wiosce, leżącej w niemieckiej eksklawie nad samym Renem, pomiędzy wodospadem Rheinfall a Zurychem.

Było bajecznie, ale po paru latach znowu zacząłem się dusić. Polska była wolna a ja siedziałem gdzieś poza realną przestrzenią. Właściwie nie wiadomo, gdzie i po co... I żyłem tak 16 lat w rozkroku, pomiędzy Alpami i Bałtykiem, alemańską dyscypliną a polską niefrasobliwością, podziwem dla nowego świata a nostalgią za starym. I w pewnym momencie zrozumiałem, że nie należę już do żadnego z nich, bo w jednym byłem nadal obcy, a drugi przestawałem powoli rozumieć... Wreszcie zrozumiałem, że wpadłem w modelową pułapkę emigracyjną.

## **Wypędzeni do raj**

Zastanawialiście się co czują teraz Ukraińcy? Poza lękiem i nadzieją, które wkrótce miną? I ci, którzy uciekli z piekła wojny, i tamci, którzy zostali bronić ojcowizny? Ja mogę się tylko domyślać, bo wszyscy emigranci tak samo tęsknią za utraconym światem. Pisałem o tym przeszło 20 lat temu w „Szpitalu Polonia”.

„Emigracja – to próżnia, w której nie ma ani odrobiny światła. Emigracja to samotność absolutna, to czarna dziura, która pochłania wszystkie uczucia. Kiedy się raz do niej wpadnie, nie ma już powrotu do świata żywych. I nie pomoże ani alkohol, ani narkotyki, ani seks; żadna z tych rzeczy nie jest wystarczająco ciężka, ani tak skondensowana, jak osamotnienie i strach przed śmiercią, ani jak jej pragnienie... Bo emigracja to schizofrenia; to samobójstwo na raty; najpierw ginie się mentalnie, potem fizycznie, a ci, którzy przeżyją, wchodzą żywcem w proces pośmiertnego rozkładu. Kiedyś to odkrycie było dla mnie szokiem, teraz o tym nie myślę... I niczemu się już nie dziwię.

Tak, tacy właśnie jesteśmy, my emigranci końca dwudziestego wieku, my azylandzi, my „wypędzeni do raj”.

Śmierdzimy jak rozkładająca się padlina.

Ale czy jest sens opowiadać o tym komukolwiek? Przecież nikt, tak naprawdę, nie chce słuchać tych żalonych opowieści o biednym kraju zniszczonym przez zniechęconych wrogów; ani tym bardziej o ludziach, którym komuniści wraz z mózgiem amputowali honor. Obywatele Wolnego Świata wolą te ułomności tłumaczyć naszymi cechami narodowymi... Nikt z nich, kiedy mówiłem o Polsce, nie miał odwagi spojrzeć mi w oczy. Patrzyli tylko na moje ręce; i z obrzydzeniem rzucali mi pieniądze, i stare ubrania, i dobre rady. Rzucali je pod stół, tak żeby nikt tego nie widział.”

A jednak, gdyby nie emigracja, to zapewne nadal niczego bym nie rozumiał. Tkwiłbym w błogiej nieświadomości i nie wiedział jak boli niemożność powrotu do domu. I być może do tej pory wydawałoby mi się, że świat jest taki, jaki jest, i że należy się z tym pogodzić. Jak z nieuleczalną chorobą.

Imigrant, czyli małpa ze Wschodu.

W styczniu 2000 roku w wywiadzie dla berlińskiego dziennika „TAZ”, emigrację porównałem właśnie do ciężkiej choroby. Tłumaczyłem rozmawiającemu ze mną Helmutowi Höge, że aby ją uleczyć, należy najpierw postawić właściwą diagnozę. I że dopiero wówczas można zacząć kurację.

Nie zdawałem sobie wówczas sprawy, że los imigrantów ze Wschodu tak naprawdę nikogo w Niemczech nie interesuje. Że jesteśmy tylko małpami w ich kulturalnym cyrku. Że na spotkania autorskie polskich twórców przychodzą z obowiązku, żeby zamanifestować swoją poprawność polityczną. Ten swoiście pojmowany „imperatyw katagoryczny”, który nakazuje im zainteresowanie biedniejszymi, słabszymi i ich zdaniem

zapóźnionymi w rozwoju sąsiadami, tak naprawdę niczego nie oznacza.

Polska kultura była, jest i prawdopodobnie będzie, jedynie dodatkiem folklorystycznym do niemieckojęzycznego kulturalnego „mainstreamu”. Niemcy nie wiedzą o nas w zasadzie nic i chyba niespecjalnie chcą się dowiedzieć... Czy taki sam los spotka Ukraińców w Polsce? Czy po kilkutygodniowym napadzie „ukrainomani” pokłady naszej empatii stopnieją do zera i uciekinierzy z Kijowa, Żytomierza i Odessy staną się niechcianymi, coraz mniej tolerowanymi gośćmi? Mam głęboką nadzieję, że tak nie będzie... W końcu jesteśmy Polakami.

Większość ludzi nie zdaje sobie sprawy, że emigracja nie jest automatyczną odmianą losu, lecz tylko szansą na taką odmianę. Jeśli ktoś był we własnym kraju nieudacznikiem, albo mu to przez pokolenia wmawiano, to nie łudźmy się - pozostanie nim na emigracji. Izolacja może nawet spotęgować stare problemy.

Dlatego Ukraińcom przybyłym do Polski potrzebne jest prawdziwa troska. Przede wszystkim systemowe wsparcie ze strony państwa polskiego i międzynarodowych organizacji humanitarnych, a nie puste hasła, żółto-niebieskie kredki, podświetlanie budynków i bicie dzwonu Zygmunta. Ofiarność Polaków to bezsprzecznie piękny i potrzebny gest, ale to kropla w morzu potrzeb. Bez instancjonalnej pomocy ten szlachetny gest pozostanie jedynie gestem.

Krzysztof Maria Załuski

Źródło: Dziennik Bałtycki